

Cortez, Robinson, czy Kolumb Kosmosu?

Pięć miliardów lat, według wniosków fizyki atomowej, liczy nasz glob i jego macierzysty układ. I oto teraz Staruszka-Ziemia staje wobec nie dającego się jeszcze przewidzieć w skutkach wydarzenia: wokół niej pojawili się sztuczni satelici.

Wyprowadzeni na swe gigantyczne orbity sondujące strudzenie Kosmos. W środowisku wysokiej próżni, niczym fantastyczne „wehikuly czasu”, przebiegają torów kosmicznych biegni, przekazując zakodowane raporty dla Ziemi.

Technika raketowa skwapliwie obiecuje bliskość już lotów kosmicznych, nawet z załogą ludzką na pokładzie statku. Napędy neutronowe, jonowe, fotonowe... Być może o tym pisano ostatnio zbyt wiele. Ale przy głębszej rozprawie, oprócz fascynujących problemów technicznych, występują tu również inne zagadnienia: psychologiczne, moralne, filozoficzne. Omówmy je pokrótce, tworząc trzy możliwości, na które człowiek musi być przygotowany, trzy sytuacje: Corteza, Robinsona i Kolumba.

Tenochtitlan rediviva?

Kiedy przed miesiącem, o północy, za 23-letnim silnym i dorodnym Yankesem, Donaldem Farrellem zatrzasknęły się hermetyczne drzwi doświadczalnego kosmicznego statku, na poligonie raketowym Randolph odszedł sen wszystkich, od komendanta bazy do najzwyczajniejszego ciury. Siedem pełnych dni ma oto przeżyć Donald, zamknięty w widiowej trumnie! W kosmonautycznym skafandrze i hełmie, poddany działaniu „czarnej zasłony” zabójczych przyspieszeń, pod kłosem antyakustycznym „absolutnej ciszy”, jaką dzwoni tylko Kosmos, odżywiany automatycznie normowanymi dawkami płynów i koncentratów, nie ruszając się z miejsca przez blisko 170 godzin, ma przeżyć w warunkach kosmicznych fikcyjną podróż na Księżyc...

Tylko anteny radarowe podglądają Donalda, tylko rejestratory elektroniczne przekazują na zewnętrzny dwumetrowy kabinę odrucho i reakcje śmiałości Donalda, poza tarczami przyrządów nawigacyjnych, nie widzi nic i nie słyszy nic. Sztab specjalistów medycyny lotniczej, psychologów, elektryków czuwa na zewnątrz. Podglądają na radarowych ekranach Donalda, śledzi sprężone z nim instrumenty. Płatego dnia Donald opada sennosć. Przelamuje ją jednak szybko, Kiedy liczniki silników rakiet „wybijają” 280 tysięcy kilometrów, siódmego dnia o świcie hermetyczna kabina zostaje otwarta: Donald wysiada zupełnie „świeży” i w znakomitej formie, jakby dopiero wstał od lunchu. Tygodniowa „podróż” kosmiczną kwituje krótkim: „O, key!”...

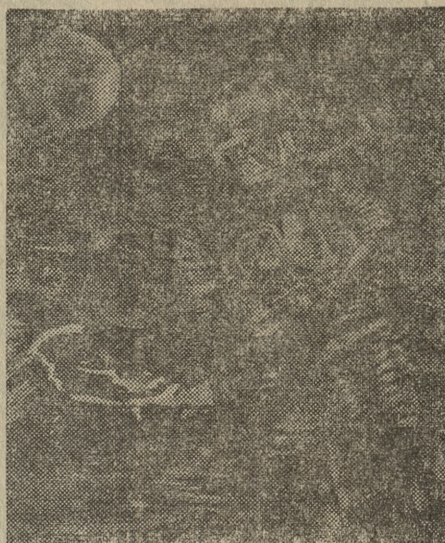
Próba dowiodła po raz pierwszy, że organizm ludzki może w zasadzie sprostać warunkom podróży kosmicznej.

Prawie równocześnie specjaści wystąpili z nową „bombą”. Oto z tej samej bazy chcą niebawem wystartować 4-stopniową rakietę z głowicą termojądrową. Automatyczny tym razem, elektroniczny „Donald” uruchomi zapalnik głowicy z chwilą upadku rakiety na tarczy Księżycu. Eksplozja termojądrowa, widoczna z Ziemi na wet okiem nieuzbrojonym, obwieści wszystkim pomysły ukończenie raidu.

Nie jest tu, doprawdy, istotne, na ile megaton oceniany jest wybuch-sygnał, ani nawet to, że nastąpi na „srebrnym globie” który prawie na pewno jest martwy! Powstaje nowy zupełnie problem, oczywiście nie z specjalności... Wernera von Brauna. Problem moralny.

Czy mechaniczny „Donald” nie stanie się w podobnych wypadkach krwawym konkwestatorem i Cortezem Kosmosu? Cortez, stanowiący na ziemi Azteków, „przedstawił im się” morderczym ogniem ze wszystkich swych dział. Stolicę Tenochtitlan zamienił w dymiące gruzi, cuchnące zwłokami swych mężnych, a bezradnych obrońców. Tak wyglądało wstąpienie białego człowieka na „Nową Ziemię”. Cortez redivivus w skalę kosmiczną — byłby hańbą już wprost nie do zniesienia. Zdrowy rozsadek i wnioski nauk wskazują prawie na pewnik istnienia życia poza Ziemią. Zmysł moralny dyktuje więc rozważę, by przy pierwszym stąpieniu, również „sztucznego”

Dr Włodzimierz
Krzyżaniak



Donalda na brzegu kosmicznego „Meksyku” nie powtórzyła się zbrodnia Corteza.

„Cisza tych nieskończonych przestrzeni przeraża mnie!”

skarżył się fizyk genialny Pascal, patrząc w iskrzące się gwiazdami niebo. Ziemiaki rozbił, Robinson, szybko uporał się ze swą samotnością. Dynamizm i wrodzona inteligencja pozwoliły mu w mig dzielić pustkowia zmieniać w raj egzotyczny, w którym brakło jedynie „drobiazgu”: towarzysza życia. Ale serce zamarało mu w trwodze, wła-

Niech nawet wyniesie głowę przy zagładzie swego kosmicznego statku! Niech jego żelazny organizm dorodnego „Donalda” przetrzyma nawet fizjologiczną destrukcję hamowania rakiet, niech nawet ocali swój skafander i hełm ochronny! Niech zapasy żywności i tlenu starczą mu na czas nieograniczonej drogi! Czy, przy tym wszystkim, psychologia kosmicznej samotności nie wieszczę mu samounicestwienia?

Jeśli rozbił się na globie — karle, uczeplił się go kurczowo, bo znikoma siła ciężenia przy każdym gwałtowniejszym ruchu uczy

Ale go pięknie wykiwa! — mówimy na meczu, podziwiając piłkarza, który potrafił przebić się przez obronę i dotrzeć z piłką do bramki. Zaiste — umiejętność kiwania to dobra rzecz. Oczywiście na boisku, czy w ringu.

Oprócz tej umiejętności kiwania znamy jednak inną — mianowicie kiwanie palcem w bucie. Ten rodzaj kiwania, mający u nas tradycję o wiele lepszą niż pierwszy, w ostatnich miesiącach zaczyna przybierać rozmiary niepokojące.

Oto niedawne przykłady.

Piłkarz śląski Trampisz. Zachował się skandalicznie — i to nie wobec przeciwników, nawet nie wobec sędziego, co stanowi interesujące „novum” chuligańskich wyryków na boiskach. Trampisz obraził — kibiców! Najwidoczniej zabrakło mu już umiejętności kiwania przeciwników na boisku, a więc, „zdenewrowany” (uważacie?) zaczął kiwać w stronę trybuny zupełnie czym innym niż palcem w bucie. Znał jest iście cięcie uwielbienie niektórych kibiców wobec „ich” graczy, ale to, co pokazał Trampisz nie spodobało się nawet kibicom Trampisza. Wymierzono mu surową karę (sportową, oczywiście). I cóż się dzieje? Władze sportowe po kilku

dnach wzruszyły się. Zabolala je własna decyzja. Popłakali zapewne dobrzy działacze nad losem biednego chulligana — i obniżyli mu karę. Bo to strata dla drużyny — itp. Trampisz może kiwać sobie dalej, wszystko jest jak w najlepszym porządku. Osobiście radziłbym iść dalej i przy pierwszej okazji wysłać go za granicę. Niechaj świat ujrzy, w czym jesteśmy najśliniej.

Drugi, podobnie interesujący wypadek objawił się nam właśnie z zagranicy. Tu na odmianę pływaka, Petrusiewicz, poróżbił meble w hotelu, a na dodatek popełnił gwałt. Oczywiście — znów trzeba było pokazać, na co kogo stać. Pupiliek — Mareczek zaczął od popijawy, ciąg dalszy nastąpił, rzecz można, niejako samorzutnie. Ziarnko do ziarnka, przebrała się młarka i Petrusiewiczem zajął się prokurator. Mam nadzieję, że sąd będzie mniej podatny na wzruszenia i „sportowe interesy” i wymierzy mu taką karę, na jaką zasłużył. Ale przecież oprócz niego byli w Rostocku jacyś trenerzy, kapitanowie i inni tzw. działacze, którzy — jak wiemy — wielką chmarą towarzyszą każdej drużynie sportowej wyjeżdżającej za granicę. Cóż oni porabiali w tym czasie, kiedy Petrusiewicz „pływał” na pełnych obrotach? Nie wiadomo. Może nie mogli wówczas nawet pokłócić palcem w bucie?...

ni go żywa, okresową kometa. Jeśli rozbił się na olbrzymie, który go łaskawie nie stopi, pożądana siła ciężenia przydusi go do niego i unieruchomi na zawsze.

Będzie sam, straszliwie sam. Wobec niej groza ubezwładniająca współczesnych ziemskich „Sartre’ów” jest tylko neurastenią lub lichą pozą.

Może i zjawi się jego kosmiczny Piętaszek? Może będzie on istotą piękniejszą i mądrzejszą niż on? A może przejmie go odrazą i wstrętem i zniszczy?

Pod pomyslnymi wiatrami

Szczęście sprzyja odważnym i silnym. Kolumb stawiał czoło morzom, jego ciszom i burzom, apatii i zniechęceniu swej załogi. „Nowa Ziemia” była jego celem i pasją życia.

Niech więc Kolumb kosmiczny połączy cechy swego imiennika: odwagę, wiedzę i przezorność doświadczonych dowódcy! Sympatia całego świata będzie po jego stronie. Być może, kosmiczny Admirał powróci z wyprawy nie jak Krzysztof, sterany i przyprószonej siwizną, ale młodszy, mimo upływu lat, od swych rówieśników, których zostawił na Ziemi? Tej gratyfikacji domaga się dla fotonowych zdobywców Kosmosu z matematyzowana teoria względności...

Po drodze, w przelecie ku wybranej mgławicy, pozna zjawiska i fakty, o których nie śni się astro nomom. W odległościach „godziny światła” postawi rozważnie „boje” termojądrowe: rozbiłszy w godzinnych odstępach łańcuch błysków ich eksplozji będzie w ziemskie noce śledzony przez wszystkich. Któż pomyśli o śnie wobec tych zdarzeń? Oto kosmiczny Kolumb wytycza drogę w Wszechświecie dla swych następców!

Być może, na długie tygodnie słuch o nim zaginie. Ale oto nieoczekiwanie pochwycimy na Ziemi sygnały z „Gamma 1950”. Wracaj! Z przelewniej strony niż uciekaj z Ziemi, niebo nocy rozbił się konstelacją termojądrowych „boi”-sygnałów: „Schodzimy do ładowania!”

Ufam, że Czytelnik wraz ze mną stawia na Kolumba.

KTO KOGO I PO CO KIWA?

Wielu, bardzo wielu ludzi w naszym kraju lubi widowiska sportowe. I wielu — naturalną rzeczą koleją — ma swych ulubieńców w tej czy w innej dziedzinie. Z drugiej, znów strony jest już tak, że umiejętności sportowe nader rzadko idą w parze z, hm... — wartościami innego gatunku. Aby umieć się kulturalnie zachować, trzeba wiedzieć, na czym to polega. Ale zbyt wielu „asów” ma za bardzo przewrócone w głowie, żeby się czegoś uczyć. Zresztą uczy ich się i trenuje głównie po to, aby strzelali bramki, dobrze wyprowadzali ciosy i mieli dobre czasy. Nie słyszałem nigdy o żadnym obowiazku kondycyjnym kulturalnego zachowania się.

Czesław Kuriata

CZEKANIE NOCA

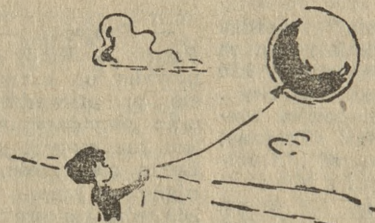
Palce oddają czerwień
cień krwi
przechodzi w słup o tysiącach wież czekania
oddal ode mnie pustynny krzyk
zachowaj w zylach wszystkie barwy
ach chroń moje uszy od głosu
sufitu i ścian kłatki z łarcz
ja jestem środkiem twoich oczu
więzień za kratą wygiętych brwi
wysłuchaj mnie wyblakłego z dnia
proszę zabierz tę noc w drzewie i kamieniu
w liściach z nocnych ogrodów wyobraźni
o świecie przyjdź listem od milej.

DZIECKO z BALONIKIEM

Pulchny balonik
zbiera chmury i promyki
i po nitce
składa w twarzy dziecka.

Ziemia błyszczy srebrnym pasemkiem
ziemia świeci drgającym okiem
i marszczy zieloną twarz —
oko drobnutko dudni rżesami.

Oślepienie ptaki ustępują z drogi
ziemia radośnie się śmieje
kółkami wracających ech —
tylko ludzie tacy obojętni.

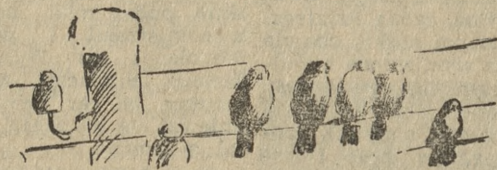


Maria Grynkanka

ZIMA

„Bo to teraz ciężka zima
nigdzie już ziarneczka nie ma”
Zbieram okruszyny ze stołu
podnoszę okruszyny z podłogi
gromadzę resztki tłuszczów
i wszystko układam
na parapecie
okiennym z blachy.

Potem cichutko siadam
przy oknie.
Przez szybę dolatuje mnie
tumul skrzydlaty
i głośnie uderzenia
dziobów w blachę.
Radośnie współczująco
szepcą
ptaki ptaki
głodne
niebieskie ptaki.



A przecież wyniki sportowe za chuligaństwo. Karać bez — to nie to, co uzyskuje np. żadnej ulgowej taryfy. Sportowowiec w laboratorium. towcy, mimo że lubi ich i po Sportowowiec nigdy nie jest sam. dziwia tylu ludzi, nie żyją u Ma przeciwnika(ów), jest wrę nas na jakichś wyjątkowych szcze widowia. Dlatego też prawach. Ciekaw jestem, co by wszystko to, co się dzieje w czasie meczu, nie jest wylacz-rzędników w jakimkolwiek nie sprawą punktów, centy-biurze zachował się tak, jak metrów czy sekund. I właśnie tej prawdy jakoś nie mogą ścia ponieśliby konsekwencje o (a może nie bardzo chcę?) za-uważę niektórzy działacze. świadkami trampiszowego „Umiesz dobrze pływać — poje dziesz za granicę”. Potem oka-zuje się, że z dobrego pływakastym lepszy chuligan i następuję ogólne rozczarowanie w tonie „kto by to myślał?” Myśleć, niestety, trzeba wszędzie.

Nie chcę bynajmniej twierdzić, że wszyscy sportowcy są takimi „sportowcami”, jak Trampisz czy Petrusiewicz. Przeciwnie — mógłbym wymienić wielu zawodników, których nazwiska budzą sympatię i kłęk z powodu ich zachowania się. Ale jednocześnie jestem przekonany, że w naszym sporcie nie jeden istnieje potencjonalny Trampisz i nie jeden Petrusiewicz. Zbyt często wykukują te kwiatki, aby wierzyć, że należą one do niechlebnych wyjątków.

Jaka jest rada?
Pierwsza — to surowe kary

(Ciąg dalszy na str. 2)

PRZED 24 LATY

Nie wiadomo dlaczego w ostatnich latach czytelnikowi polskiemu dostarczono więcej dzieł E. E. Kisha, niż Wańkowicza. Piszący te słowa osobiście przekłada tego drugiego nad „szalejącego reportera” — z przyczyn „patriotycznych” i merytorycznych. Wydaje się bowiem Wańkowicz „nowocześniejszy”.

Tym bardziej cieszy, że jego twórczość znów dociera do polskiego czytelnika. Aktualnie Melchior Wańkowicz, dziś niemłody już mężczyzna ale w pełni sił twórczych — przebywa w USA, gdzie rzuciły go losy wojny.

Chcemy naszym Czytelnikom przedstawić fragment wydanej w okresie międzywojennym „Opierzonej rewolucji”. Ten wielki reportaż „popęłnił” p. Melchior — wówczas dziennikarz — po tygodniowym pobycie z wycieczką w Moskwie. Napytał sobie zresztą, wydając tę książkę, sporo nieprzyjemności i tyleż wrogów. Zresztą — przeczytajcie, co na ten temat pisze sam autor we wstępie do wznowionych „Szczenięcych lat” („Czytelnik” — 1957), który to wstęp można uznać za dowcipną próbę obrachunku pisarza z minionymi latami.

„... Po podróży do Rosji napisałem „Opierzoną rewolucję” — bolszewicka, że ha!... Napisałem struchlałem i udelektowałem czytaniem jej moją małżonkę, dziatki, tudzież przyjaciół, rzuciłem miałem ona relacją o peregrinacji w hyperborejskie kraje do szuflady. Ujrzawszy na jej dnie rękopis „Szczenięcych lat”, powziąłem myśl słodką, z którą popędziłem do wydawcy. W rezultacie, jako że okres produkcji był kapi-

talistyczny, więc krótszy, w trzy miesiące potem, omdlały zewiół jednej z ciocięk trzeba było ciągnąć sprzed okna wystawowego księgarni Arcta do wezwanej taksówki:

Oto co ciotunia ujrzała: pół okna na zielono — były tam rozłożone „Szczenięce lata” z okładką z drzewem genealogicznym rodu Wańkowiczów, które to ród, jak wiadomo, z rzymskich się czasów wywodzi i ponoć jest spokrewniony z Matką Boską. Pół zaś okna zawalony czerwone okładki „Opierzonej rewolucji” z sierpem, młotem i napisami „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się” w kilkunastu językach...

... Pismu, poświęconemu heraldyki, które zamieściło pean pochwalny o „Szczenięcych latach”, które w gruncie rzeczy są satyrą na szlachetczyznę — red., posłałem „Opierzoną rewolucję”, po czym w następnym numerze odczytałem, że „tfu... tfu...” — tamta pochwalna recenzja się nie liczy”.

Redaktor „Słowa”, Mackiewicz, przeczytawszy w „Opierzonej rewolucji” moją aprobatę, że Kałużyce opiewane w „Szczenięcych latach” zostały wywołane przez rewolucję — uraczył mnie epitetem „kabotyń”. Kiedy pojechałem autem po kresach, ukazał się w „Słowie” artykuł ostrzegający braci szlachecką, że mogą naprowadzić reformę rolną...

Tyle — sam autor. Cóż do tego dodać? Ano, że warto przeczytać dziś, gdy Rewolucja Październikowa liczy sobie 40 lat — jak widział ZSRR w siedemnaście lat po rozpoczęciu wielkiego dzieła — onże Melchior Wańkowicz. Jak wyglądała ówczesna rzeczywistość, widziana — co ma szczególne znaczenie — oczyma polskiego publicysty, szlachcica z dziada-pradziada, którego rewolucja pozabawiła dóbr w Mińszczyźnie i który — subiektywnie — mógłby być tylko „przeciw”.

— Prawda? — śmieje się Radek. — Kiedy mi zaproponowano po brzeskim traktacie przeprowadzenie dużych prac likwidacyjnych, zażądałem tak małych pieniędzy, że Lenin się roześmiał: „Radek nigdy w kupnie nie widział 100 rubli i nie może sobie wyobrazić, że mogą być większe pieniądze”.

„Ninoczka i towarzyszy dawno straciłem z oczu. Jeden z nich nie miał większego kłopotu, jak pouczać nas, że musimy słuchać nie dobrze obznajomionej z tematem przez wodniczkę, lecz kiepsko znającego muzeum polskiego tłumacza... przez patriotyzm. Zresztą obolała wątroba nie pozwalała mi iść za własną radą. Chodził jak ślepy i wyszukiwał śmieszności — sam będąc na tym tle śmiesznością największą”.

Do sal wojen domowych wchodził z hurmą chłopaków z komсомоłu. Muzeum zwiedzała ogromna ilość wycieczek. Oprawdają ich robociznicy tacy sami (brudni — jak syzyfowi wójtobiarz), jak i oni. Chodzę w grupie jakiegoś Mongoła, który daje wyjaśnienia. Wyjaśnienia dzielne, gruntowne, nie blagierskie, mające głowę i nogi, perspektywę historyczną, i zaciepienie o rzeczywistość praktyczną.

Przypominam sobie, jak feltfelb w moim kołomińskim pułku miał pogadanki z żołnierzami i pokazując Napoleona na Wyspie Św. Heleny tłumaczył, że siedzi smutny, bo car rosyjski rozgniewał się na niego i odwołał z tronu.

A przecież feltfelb to był szczyt inteligencji, do którego wznosił się człowiek z ludu...

Jakaż to praca na nadludz

ką miarę dokonała się w ciągu tych lat piętnaście! Jakże głęboko orać było trzeba, aby dobrać się do rdzenia duszy prostego człowieka w Rosji. Te grupy zwiedzające Muzeum młodzieży, to najsilniejsze wrażenie w drugim dniu pobytu mego w Moskwie. Potem jeszcze niejednokrotnie będę się zatrzymywał, pełen zdumienia, przed najcenniejszą i niezaprzeczalną zdobyczą SSR, jaką jest — człowiek.

Dobrze trafiam do sal wojny domowej z młymi młodymi przyjaciółmi. Na piersiach ich przypięte znaczki „Osoawimachim” i odznaki „Bądź gotów do pracy i obrony”. Młode pokolenie w Rosji świetnie się orientuje w zadaniach nowoczesnej broni i nowoczesnej wojny.

A tymczasem w sali tej widzimy ogromną ilość eksponatów naiwnych, pomysłów domorosłych, jakie tworzyły broń, której brakło w wojnie domowej. Widzimy armaty skłcone z rur przez wsiowiołnych kowali, widły, przerebione na spisy, rewolwery sporządzone z uciętych karabinów, kołatki drewniane, które miały naśladować terkot karabinów maszynowych tam, gdzie ich nie było.

Przed oczyma naszymi staje przestrzeń niezmiernie Rosji, objętej wojną domową, stępy od Kaukazu po Kuban, gdzie po stanicach i po autach po kutorach i po niemieckich koloniach i po kiszłach tatarskich buszowały watahy różnego kalibru. Gdzie na tle podłości, żdzierstwa, grabieży, tym wspanialej wykazywały samotne bohaterstwa ludzi prostych, nie mających za sobą dyscypliny ani nakazu: ludzi, którzy pochodzili z narodu, nie mającego w tradycjach indywidualnego bohaterstwa jednostki...



lub nie przywarły do gołych łądz. W strachu omiatałem strychy mroczne i błotniste brzegi stawów.

Ale niemożnością było uciec.

Teraz, gdy zaczynam poznawać śliski, wywołujący dreszcze dotyk — tracającą wolność w moim wyobrażeniu podobieństwo do nietoperza. Stają się raczej nieszczęśliwymi aniołami o polamanych skrzydłach, które stracono z nieba. Kalekie latają nisko, niechętnie widziane w naszych przepełnionych troską oczach.

PIERWSZY — to smutek przednocy, otaczający nasze roztanie, uśmiech ostatni, gdy tak trudno wyciągnąć dłoń, by wyjść poza szafir jej włosen-nych warkoczy. Poddanie miękkich ust

PIĘĆ SMUTKÓW

jest schronieniem, które trzeba porzucić a przecieć odejść nie sposób.

W kręgu ramion, które rozchylają się jak Sezam za naszym zaklęciem, znajduje się bajkowa wiara w dobroć znajdkę, w piękno istnienia. Poza nimi — świat zdaje się być zły, świecący w ciemności roziskrzonymi ślepiami wilków. Ale przed nocą musimy się rozstać. Jak gdyby trzeba, aby przez całe życie rósł w nas smutek niezapoko-nej nigdy miłości.

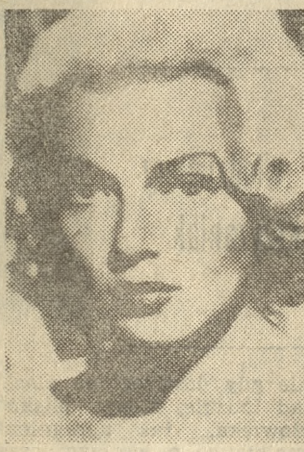
DRUGI jest smutkiem samotnej topoli na piaszczystym urwisku, którą tylko cień, przypisany przez cztery pory roku, oplata granatową woalką dookoła pnia. Na próżno wieją w wietrze widlaste gałęzie — nikt ich nie wita, nie kładzie na ciepłą dłoń; na próżno rzuca wiosna zieloną szatę godową — nikt nie zarezęca się z liśćmi, nie zbliża swego oddechu do spęczniałej skóry.

Przychodzą bowiem sprawy, z którymi nie ma się z kim dzielić, sprawy niewyrażalne często w słowach, mgławice spadające przez wszechświat rozszereżonych tętnic. Próbuje się o nich

WIELKOPOLSKA — twórcy »WESELA«



CHARLES LAUGHTON



LANA TURNER



ALEC GUINNESS

Kandydaci do nagrody »Oscara«

Amerykańska Akademia Filmowa dokonała wyboru kandydatów do hollywoodzkiej nagrody „Oscara” w 1957 roku. Jest to jedna z najbardziej cenionych nagród filmowych na Zachodzie.

Listę rozpoczynają aktorzy brytyjscy Alec Guinness i Deborah Kerr za rolę w filmach „Most nad rzeką Kwai” i „A kto to może wiedzieć, mr. Allison?”. Za nimi idą: Mario Brando, odwołujący się do roli w filmie „Sayonara”, Anthony Franciosa za „Kapelusz pełen deszczu”, Charles Laughton za film „Świadek oskarżenia” i Anthony Quinn za obraz pt. „Dziś jest wiatr”.

Do odtwórczyni czołowych ról kobiecych lista zalicza oprócz Deborah Kerr: Elizabeth Taylor za rolę w filmie „Raintree County”, Lana Turner za „Peyton place”, Annę Magnani za „Dziś wiatr” i Joanne Woodard za „Trzy oblicza Ewy”.

Kandydatami do tytułu najlepszego realizatora są: Dawid Lean („Most nad rzeką Kwai”), Mark Robson („Peyton place”), Joshua Logan („Sayonara”), Sydney Lumet („Dwunastu rozszereżonych mężczyzn”).

Na scenach całego kraju święcił znow sukcesy Wyśpiński. Uroczyste przedstawienia, okolicznościowe widowiska artystyczne i koncerty czczą pamięć autora „Wesela” i ściągają w gmachy teatrów tysiące jego miłośników. Warto — z okazji obchodzonego obecnie Roku Wyśpińskiego — przypomnieć sobie, jak Wielkopolska żegnała wielkiego poetę 150 lat temu.

„Jak grom spada wieść ta na społeczeństwo polskie — pisał w dniu 29 listopada 1907 r. „Kurier Poznański” — i kirem żałoby okrywa serca wszystkich tych, którzy na Wyśpińskiego patrzyli nie tylko jako na wielkiego poetę i malarza, ale jako na prawdziwego wieszca, niosącego nowe światło, nową wiarę, głoszącą nową przyszłość narodu...”

Wrażenie wywołane śmiercią autora „Wesela” było w Poznaniu rzeczywiście wielkie, a reakcja w społeczeństwie szeroka. Delegacja na pogrzeb Stanisława Wyśpińskiego w Krakowie w składzie: Klara Paczkowska, Aniela Tułodziecka, Maria Kucnerowa i Aniela Koehlerówna złożyła w trumny poety wieniec laurowy z wiankami białych chryzantem. Na szarfach widniał czterowiersz Wyśpińskiego z „Kazimierza Wielkiego”:

Otośmy drzewa na jesiennej sioście
I kłosy żrzące, rzucone na wicherze,
Odarty liści najświętszych krocie
Leżą pokotem we krwi —
Stanisławowi Wyśpińskiemu Wielkopolskiemu

Ten odruch społeczeństwa polskiego w Poznaniu był wtedy zupełnie zrozumiały. Były to bowiem najcenniejsze cza- sy dla narodowości polskiej pod zaborem pruskim. Szalała wówczas polityka antypolska i pruscy hakatysci. Władze pruskie usunęły reszki języka polskiego ze szkoły podstawowej, co doprowadziło do dwóch strajków szkolnych w latach 1901 — 1904 i 1906 — 1907. W roku śmierci Stanisława Wyśpińskiego do powszechnego strajku szkolnego w obronie języka ojczystego i swej narodowości przystąpiło prawie 75 tys. dzieci polskich w Poznaniu. Dzieci szkolne i młodzież szkół średnich uczyła się języka i literatury ojczystej w tajnym nauczaniu, prowadzonym przez polskie organizacje oświatowe jak „Warta”, „Stella” czy Towarzystwo im. Tomaszka Zana. Społeczeństwo polskie i młodzież odczuwała boleśnię stratę wielkiego poetę, mistrza języka polskiego, którego jak największego skarbu narodowego bronili młode i stare pokolenie społeczeństwa polskiego pod zaborem pruskim.

W Poznaniu i na prowincji organizowano samorządnie akademie, odczyty i wieczory ku jego czci. I tak np. z inicjatywy Tomaszowej Kozłowskiej z Pławieńskiego pod Inowrocławiem wysłano na grób poety małą trumienkę z ziemią pobraną u stóp Mysiej Wieży w Kruszwicy. Na tej trumienkę widniał napis: „Ziemia spod wierzby kruszwickiej”, a na szarfach obwarach narodowych napisano: „W żałobę po Autorze „Wesela” — umiłowaną garść ziemi spod

Mysiej Wieży — krwawą i łzami zroszoną — składają Ci na serce Kujawianki i Kujawicy”.

Przy tłumnym udziale publiczności Towarzystwo „Gwiazda” zorganizowało akademię ku czci Wyśpińskiego w Teatrze Polskim w Poznaniu — 30 listopada 1907 roku. Pierwszą akademią żałobną na prowincji urządziła 4 grudnia Czytelnia dla Kobiet w Ostrowie Wlkp.

Dnia 6 grudnia Teatr Polski w Poznaniu wystawił „Warszawiankę” Wyśpińskiego i scenę więzienną z „Dziadów” Mickiewicza. W dwa dni potem do wieczornicy, poświęconej Warszawie, dołączono wykład dr Tadeusza Sulca o Wyśpińskim.

Przez cały grudzień 1907 r. i styczeń 1908 odbywały się zebrania wszystkich polskich stowarzyszeń z wykładami o Wyśpińskim i recytacjami jego wierszy — także na wsi. „Warszawiankę” wystawili również niektóre zespoły amatorskie w Wielkopolsce.

Po raz pierwszy wystawił Teatr Polski w Poznaniu „Warszawiankę” Wyśpińskiego w dniu 29. 11. 1902 r. „Kurier Poznański” napisał wtedy o Wyśpińskim: „W szeregu pisarzy dramatycznych zajął talent, który wyżej stoł od wszystkich przedstawicieli t. zw. modernizmu... jest to talent duży, większy może od tych, którzy go w tej dziedzinie poprzedzili. Natomiast ówczesny „Goniec Wielkopolski” taką dał ocenę twórczości Wyśpińskiego: Wyśpiński neoromantyk, zajmując w dzisiejszej literaturze dramatycznej miejsce bez zastrzeżeń pierwsze. I nie dziwnego, bo kiedy u innych ikanie dziewczęce, słabość i niemoc przebijają w pięknie rzeźbionym słowie, Wyśpińskiego geniusz podstępował mu moc jako ideę — i ta siła indywidualna podyktowała mu formę i treść odrębną, spójną, twarzą w swym bohaterkim rytmie.

Polcja pruska zdała sobie rychło sprawę z patriotycznej i rewolucyjnej twórczości poetki Stanisława Wyśpińskiego dla społeczeństwa polskiego, dlatego też zakazała wystawienia „Wyzwolenia”, „Nocy Listopadowej”, „Wesela” i „Warszawianki”. Izba Karna na sesji wyjazdowej w Śremie wydała w 1907 roku wyrok skazujący na zagładę „Wyzwolenia”, „Legion” i „Noc Listopadową”.

Jednak te orzeczenia sądów pruskich potrafiło obejść w dowcipny sposób. Prawda, że od 1908 r. znika z repertuaru Teatru Polskiego i teatrów amatorskich „Warszawianka”, lecz pojawiła się pod zmienionym tytułem i nazwiskiem autora jako nowa sztuka „Na polu walki”. A. Porzeckiego, używającego pseudonimu Lechita. Pod tym ostatnim tytułem grała ją Kółko Miłośników Sceny w 1912 i 1913 r. w Poznaniu.

Ludwik GOMOLEC

KTO, KOGO i PO CO KIWA?

(Ciąg dalszy ze str. 1)

dach za granicę, wychodzi na to, że jesteśmy krajem najbardziej zacofanym... sportowo. Kto to u wierzy?

Tyle rzeczy nam potrzeba, jesteśmy biedni. Myśle, że nie byłoby dziury w niebie, gdyby nasi sportowcy wyjeżdżali za granicę rzadziej — według hierarchii naszych rzeczywistych potrzeb. Przy najmniej na jakiś czas, dopóki krzywa wybrzydła nie zacznie spadać. Nie chcemy nawet dobrych wyników — za cenę międzynarodowego wstydu. A jeśli już jada — to niechaj ją dla w towarzyswie ludzi, którzy nie tylko przywiozą „souvenirów” rodzinne, lecz potrafią również wywiązać się ze swych obowiązków opiekunków.

Przewodniczący GKKF w wywiadzie udzielonym kilka tygodni temu tygodnikowi „Kulisy”, powiedział, że nie należy zaglądać za kulisy sportu. Ze zaprasza na boiska, za kulisy — nie. Nie wiem, w jakiej mierze to, co napisałem, można nazwać zaglądaniem w te zabronione rejony. Piszę, jako zwykły obserwator tego, co dzieje się, niestety, coraz częściej publicznie, nie za kulisami. A na to nie można patrzeć z (olimpijskim) spokojem.

Tak samo trudno przychodzi wielu ludziom w kraju (nie tylko dziennikarzom) patrzeć bez oburzenia na kiwanie palcem w bucie — co stało się ulubioną dyscypliną sportową niejednego z tzw. działaczy „od sportu”.

PUK

mówię z przyjaciółmi, nie rozumiem bądź rozumieć nie chcą, inni wyśmiewają poza plecami zagmatwany węzeł naszych uprzedzeń, lęków, niepokojów. Uczymy się więc go ukrywać na dno. Na dno samotności.

Uczymy się być smutną topolą, wpartą głęboko korzeniami w suchy piach urwiska.

TRzeci smutek brzmi struną rozpacz na widok własnych dzieł, gdy w ich profilach znów dostrzegamy — twórcy tragiczni — tak znaną z poprzednich kształtów skazę pierworodną. Nieopanowani unosimy ciężki młot, aby rozwalić w pył niedojrzały owoc trzystudniowego wysiłku.

Jest to więc smutek Fidasza.

CZWARTY smutek przerasta nasze ciało koroną żył, przesypuje się ciąglą odmianną dni, przelewa przez palce nieuchwytną rzeką czasu. Zostaje nam tylko jakiś osad gorzki, poczucie własnej niemocy wobec ulęwy stuleci. Zostaje twardy obtoczony kamyk — krucho amulet rzuty dla potomnych. Zaczynamy powoli rozumieć, że nawet najbardziej obfite deszcze pochłonie zawsze rzeszoło pól.

PIĄTEGO smutku jeszcze nie znam. Przychodzi on znacznie później. Piąty smutek przebiega serce.

Józef RATAJCZAK

Człowiek nr 1 rakiety V-2

W ostatnim odcinku podawaliśmy, jak się odbyło pierwsze ostrzeżenie V1 na Londyn. Gigantyczny atak załamał się, gdyż Anglicy zastosowali zmasowany ogień artylerii przeciwlotniczej, oraz przystosowali swoje myśliwce do strącania latających bomb. Wtedy zaczęto przygotowywać drugą niespodziankę — V2.

Właściwie historia V2 (którą znalazłem nie w „Welt am Sonntag”, skąd czerpałmy informacje do tego cyklu artykułów) zaczyna się już w roku... 1929!

Jak wiadomo traktat wersalski zakazał Rzeszy Niemieckiej produkcji ciężkiej artylerii. Alianci nie chcieli dopuścić do powtórzenia ostrzeliwania Paryża przez słynną „długą Bertę”, działa strzelające na odległość ok. 60 km. Ale traktat ów nie mówił nic o rakietach. Toteż już w r. 1929 zaczęto badania i próby. W 1939 roku eksperyment zarzucono. Rzekomo pod wpływem Goeringa, który obawiał się utraty wpływu lotnictwa i jego znaczenia, ale także w przekonaniu, że tzw. „Endsiege” będzie można uzyskać bez takiej broni. Dopiero, gdy okazało się, że Luftwaffe wykusza się coraz bardziej, natomiast lotnictwo angielskie staje się coraz groźniejsze — zaczęto gromadzić środki i popędzać uczonych, by jak najszybciej zakończyli prace nad budową dalekosiężnej rakiety.

PROFESOROWIE W RANDZE GEFEITRÓW

Reichsmarschall Goering do końca jednak zachował niechęć do pracowników naukowych i całej bazy doświadczalnej w Peenemünde. Już po rozpoczęciu ostrzeliwania Londynu pociskami V1, udał się na inspekcję. „Tym razem wszystko się nie udało” — pisał A. Bärwolf i H. W. Pragua w „Welt am Sonntag”. — Ciężka rakietą przeciwlotniczą „Wasserfall” (wodospad) wystartowała razem z podstawą strzelniczą i eksplodowała po przelecie kilkudziesięciu metrów. V1, choć wielokrotnie używana już w warunkach bojowych na Zachodzie, płuśnęła w morze w odległości kilkometrowej od wyrzutni... V2, największe marzenie odwetowe

brunatnych kandydatów na zdobywców świata, eksplodowała zaraz po starcie. Hitlerowski Neron — wściekał się. Doszedł do wniosku, że „ta banda uczonych” marnuje tylko pieniądze, że 13 miliardów Reichsmark (tyle kosztowało w przybliżeniu prowadzenie



prac badawczych tylko nad V2!!!) zostało zmarnowanych przez tych „nędznych ludzi nauki”.

Decyzja była krótka: krewki Reichsmarschall rozkazał natychmiast wcielić zdolnych do noszenia broni uczonych — w szeregi armii... Bezwzględnie przystąpiono do realizacji tego polecenia. Profesorowie, docenci, asystenci, specjaliści od aerodynamiki, termo-chemii, balistyki itd. ubrani w mundury artylerzystów przeciwlotniczych — wyruszyli na poligony.

Oczywiście — decyzja ta nie utrzymała się długo i ogromna większość tej pełnej kompanii (ilościowo) naukowców wróciła do zajęć doświadczalnych. Niechęć jednak władzy hitlerowskiej do naukowców z Peenemünde, jak twierdzą autorzy cyklu artykułów w „Welt am Sonntag” wyrażała się nie tylko w tym. Sam główny projektant, który osobiście przedstawiał w głównej kwaterze Hitlera raport o wynikach doświadczeń, został poddany badaniom Gestapo.

SZALEŃSTWO NIEUFNOŚCI

14 marca, gdy prace były już daleko posunięte i niewiele miesięcy brakło do wypuszczenia pierwszego ciężkiego pocisku raketowego w II wojnie światowej (jak wiadomo, w ostatniej wojnie lekka broń raketowa została użyta masowo po raz pierwszy przez Armię Radziecką) — stanął w drzwiach pokoju nr 34 w domu nr 4 (pracownia Wernera von Brauna) — niejaki Hauptsturmführer SS Schemmle. „Panie profesorze von Braun, jest pan aresztowany!” Razem z raketowym szefem Gestapo aresztowało wszystkich najbliższych współpracowników naukowych, których pospiesznie przewieziono do Szczecina.

Nim gen. Dornberger zdecydował się na wizytę w „wilczej jamie”, czyli na Prinz-Albrecht-Strasse w Berlinie (siedziba Gestapo) u samego Kaltenbrunnera — interwiniował u feldmarszałka Keitla. Ten pokazał depesze z kierownictwa SS w Szczecinie. „Von Braun w rozmowie ze swoimi przyjaciółmi zwierzył się, że nie miał nigdy zamiaru ze swojej rakiety robić broni. Wszystkie prace nad rozwojem rakiet miały on i jego towarzysze prowadzić tylko w tym celu by urzeczywistnić swoje marzenia kosmiczne”.

Jednak po kilkudniowym areszcie, dzięki interwencji gen. Dornbergera, von Braun i jego współpracownicy wydostali się na wolność. W kilka miesięcy później wystrzelono przeciw Wielkiej Brytanii 3065 sztuk V2! „Marzenia kosmiczne” przyobiekły realny kształt...

GDYBY WOJNA TRWAŁA DŁUŻEJ...

Gdyby V2 została masowo użyta pół roku lub 8-9 miesięcy wcześniej to — według oświadczenia gen. Eisenhowera — rozwój strategiczny wojny mógłby przebiegać inaczej. Przy masowym użyciu tej straszałej broni, spadającej dosłownie jak grom z jasnego nieba, mogliby hitlerowcy

przeszkodzić zgromadzeniu floty desantowej.

Jak skuteczna była ta piekielna broń (z ładunkiem 1 tony materiału wybuchowego) może dowiedzieć się, że gdy rakietą trafiła w budynek amerykańskiego kina wojskowego, zabiła za jednym zamachem 900 żołnierzy. W porównaniu z V1, których wypuszczono ogółem 8014 sztuk, zniszczenie było wielokrotnie większe; terror moralny grubo wyższego rzędu (świadomość niemożności ukrycia się przed spadającym pociskiem); a możliwości obrony przeciwlotniczej — sprowadzały się wówczas do



Rakietowa kariera dr. Wernera von Brauna w fotografii: rok 1943 — w służbie faszystowskich „władców świata” wspiera ich plany masowej zagłady ludzi (na zdjęciu von Braun pierwszy od prawej w towarzysztwie hitlerowskich sztabowców, m. in. Dönitza), rok 1957 — przyjmuje wysokie odznaczenie z rąk przedstawiciela Departamentu Obrony USA.

Fot.: „LIFE”



zera. Pocisk świecił co prawda w czasie upadku (rozgrzanie powierzchni), lecz szybkość ok. 6000 km na godzinę zapewniała mu całkowitą bezkarność.

Nie to jednak miało być ostatnim słowem bazy w Peenemünde. W chwili rozpoczęcia ostrzeliwania Londynu pracowano już nad modelem „A4-b” (polityczna nazwa V2 w dokumentach wojskowych nosiła nazwę „A4”). Miało to być skrzyżowanie rakiety z

samolotem. Gigantyczna siła 500.000 koni mechanicznych, w połączeniu z płaszczyznami nośnymi, miała wydatnie powiększyć zasięg rakiet, który w momencie ich zastosowania wynosił ok. 300 km. Mało tego; zespół dr. Wernera von Brauna myślał już o rakiecie transkontynentalnej, która posiadając moc rzędu milionów koni mechanicznych, mogłaby ostrzeliwać miasta amerykańskie.

Projekt ten nosił kryptonim „A-9/A-10” i był — według relacji „Welt am Sonntag” — „przemysłowy, obliczony i zaprojektowany”. Pisały o nim przed kilku tygodniami także „Kulisy”, podając, że dzięki tajemniczemu lotowi członków polskiego podziemia na trasie Warszawa—Hamburg—Londyn—Warszawa, dostarczono wywiadowi brytyjskiemu szczegółów planów budowy i urządzenia sterowniczego, które to urządzenie budowano w wielkiej tajemnicy na terenie... Hiszpanii. Finałem miało być uzbrojenie tej super-rakiety w głowicę atomową, do czego oczywiście nie doszło. Widać jednak z tego, że Goebbels wcale tak bardzo nie kłamał mówiąc: „posładamy broń, która zadziwi świat”. Nad światem rzeczywiście zawisła straszliwa groźba.

W. v. BRAUN ZNOWU SIĘ SPÓZNI...

Jednak nacierające dywizje radzieckie wypędziły naukowców z Peenemünde już w kwietniu. Przenieśli się wówczas w góry Harzu, gdzie w głębokich sztolniach produkowano systemem taśmowym (tak!) olbrzymie cielska rakiet V2. Prace wykonywali, płacąc życiem, więźniowie pobliskiego obozu koncentracyjnego. Zginęło ich w podziemnych sztolniach wiele tysięcy. Pamiętnik z tego okresu jeden z ocalałych opublikował w „Trybunie Robotniczej” przed kilku miesiącami. O tym oczywiście „Welt am Sonntag” nie wspomina, by nie poruszać drażliwych spraw...

Wojska amerykańskie, wkracza-

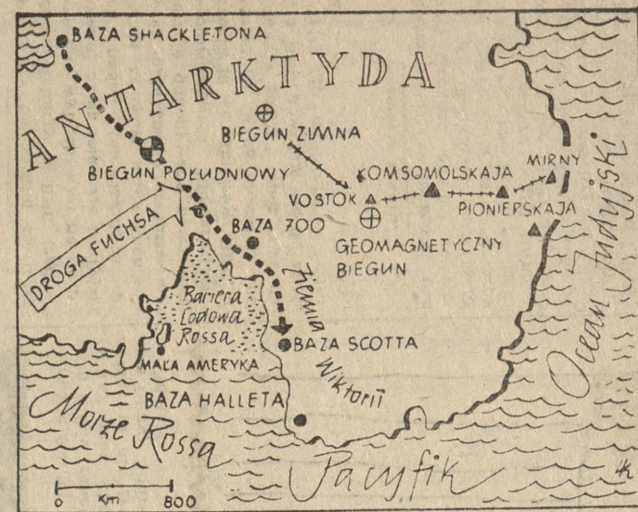


jące do Nordhausu, zagarnęły 100 kompletnych V2 i sporą ilość dokumentacji. Wernera von Brauna z najbliższymi współpracownikami oddał się dobrowolnie w ręce Amerykanów w miejscowości letniskowej Hindelang. Oczywiście — niezwłocznie przewieziony został przez Amerykanów do USA. Podobno pracy nie przerwał ani przez miesiąc. On także ze swoim zespołem jest twórcą amerykańskich sputników. Okazało się jednak, że naukowcy radzieccy zdążyli go wyprzedzić... (jl)



Z NIESŁYCHANĄ „BOMBĄ” wystąpiła delegacja amerykańskich techników, którzy zwiędzali belgijskie laboratorium Rhode-Saint-Genèse, koło Brukseli. Przewodniczący delegacji, prof. Alvarez, oświadczył, że Belgia posiada nieznaną, rewolucyjną rodzaj broni. Są to pociski o napędzie jądrowym kierowane radarem, przeznaczone do niszczenia samolotów. Pocisk ten może osiągnąć niezwykle dużą wysokość i przez to jest niesłychanie trudno wykrywalny.

Wywołało to w świecie zachodnim wielką sensację. Ale nie zapominajmy, że człowiek



W najzimniejszym punkcie globu

ANTARKTYDA

ład stały czy gigantyczny lodowiec?

ANTARKTYDA — tajemnicza „szósta część” świata, przekształcała się w ciągu ostatnich lat w olbrzymie naukowe obserwatorium, w którym pracują ekipy badaczy z 12 krajów świata. Najlepiej wyposażone i największe są ekipy: amerykańska i radziecka. Obie wyprawy zorganizowano z rozmachem na nieznaną dotąd skalę w tego rodzaju pracy badawczej.

Zachodni Niemiec „Frankfurter Allg. Ztg.” w sprawozdaniu p. t. „W najzimniejszym punkcie Ziemi” — podaje szereg ciekawych szczegółów z życia członków wyprawy. Sprawozdawca stwierdza przede wszystkim, że Rosjanie urządzili się na Antarktydzie nie gorzej niż Amerykanie, co przynajmniej zresztą ci ostatni po zwiędzeniu radzieckiej stacji biegunowej „Mirnyj”. Poczynione przez ekipę radziecką obserwacje meteorologiczne, oceanograficzne i pomiary pokrywy lodowej mają doniosłe znaczenie w sporze naukowców: „Co znajduje się pod lodami Antarktydy — ład stały czy ocean?”

Wyprawa radziecka przebywa na Antarktydzie już 2 lata. Z odległości 11 tys. km kraju przetransportowano olbrzymie ilości ropy i benzyny, samoloty, ciągniki gąsienicowe, gotowe domki polarne, urządzenia techniczne, aparaty naukowe, meble i książki. Około 1 tys. obywateli ZSRR zapoznano się przy tej sposobności z Południowym Biegunem.

W odległości 375 km od „Mirnyj” zorganizowano stację „Pionierskaja”. W okolicy tejże stacji dowiercono się już do 400 metrów w głąb pokrywy lodowej. Dalsze stacje, a mianowicie „Komsomolskaja” i „Wostok”, położone są w okolicy geomagnetycznego punktu ziemi, na wysokości 3540 m. nad p. m. Służą one jako baza wypadowa na tzw. „punkt niedostępności”, będący najzimniejszym miejscem naszego globu. Temperatura opada tam do minus 75 stopni Celsjusza!

A oto szczegóły wyprawy:

Przed głównym uderzeniem przetransportowano do obu baz ok. 3 tys. ton materiałów pędnych i budowlanych, żywności i urządzeń. Kierownikowi ekspedycji, prof. Tołstykowi, oddano do dyspozycji traktory ze specjalnym kompresorem powietrzem oraz samoloty z aparatami tlenowymi. Najcięższe ciągniki wyposażone były w gąsienice sześciokątne i metra, co je zabezpieczało przed zapadnięciem się w śnieg. Karawana polarna wioząca żywność,

instrumenty naukowe oraz aparaturę niezbędną dla urządzenia specjalnego obserwatorium, składała się z 20 sań. Stacją na zdobytych „punktach niedostępności” nazwano „Sowieckaja”. Wyprawa radziecka cel swój osiągnęła.

Rezultaty badań uczonych radzieckich pozwalają stwierdzić, że pod pokrywą lodową na Biegunie Południowym, nie ma ładu stałego, Antarktyda stanowi gigantyczny lodowiec. Grubość powłoki lodowej wynosi przeciętnie 3 tys. m, a więc jest znacznie większa niż dotąd przypuszczano.

Radzieccy badacze doszli również do wniosku, że Antarktyda nie tworzy jednej zwartej całości, lecz składa się z ciasno leżących obok siebie lodowych wysp. Gdyby — według ich obliczeń — za pomocą energii atomowej stopiono na Antarktydzie masy lodowe, poziom wód wszystkich mórz świata podniósłby się o... 50 m!

(u-cz)



Niedawno 19-letni Paul Sowa z Chicago obchodził 13 rocznicę nieprzerwanego snu, w który zapadł jeszcze jako dziecko szkolne. Fizycznie rozwija się on normalnie, przyjmując w czasie snu posiłki. Lekarze nie rokują nadziei, aby Sowa mógł powrócić do normalnego życia; niemniej sądzą, że będzie żył jeszcze przeszło 20 lat.

I odwrotnie — mieszkaniac Gore pod Londynem, E. Burnett, od 48 lat dostownie ani na chwilę nie zmrzął oka. Jak na swoje 75 lat, wygląda i czuje się nie najgorzej...



entuzjastycznie przyjęła obraz Murzynów.

NEMEZYS W IZRAELU. Pod czas robót rolnych w jednym z kibuców w Izraelu znaleziono rzeźbę greckiej bogini Sprawy wiedzy i Zemsty. Rzeźba przedstawia fantastycznego lwa, który ma ogon w formie węży, a z ramion wyrastają mu skrzydła. Jedną łapą opiera się na kole, który jest symbolem Losu. Uczeń z izraelskiego Muzeum Archeologicznego twierdzi, że rzeźba stanowi pierwszy materialny dowód, iż dawniej Żydzi wyznawali kult Nemezis, tak jak ich sąsiedzi w Syrii i Aleksandrii. Na całym świecie istnieje tylko dwa rzeźby tego typu.

TRZYDZIESIĄTY SIÓDMY uniwersytet w Związku Radzieckim został otwarty w Ufie, w Autonomicznej Republice Baszkirskiej. Na pierwszym roku studiów zapisało się ostatnio w Paryżu. Krytyka 600 studentów. (ms)

PICCARD

ciagle

NIEZMORDOWANY

Sędziwy prof. Piccard jest niezamordowany w swoich naukowych wyprawach. Przed wojną wznosił się na wysokość blisko 20 km w balonie — po wojnie jest rekordzistą od podróży w głąb oceanów.

Prof. Piccard jest fizykiem; pierwotnie interesowały go badania promieni kosmicznych na wysokościach stratosferycznych i w głębinach oceanu. Teraz łączy badania fizyczne także z biologicznymi. Zresztą — jak ważne są te badania także z innych względów — dowodzi fakt, że obecne próby zanurzeń supergłębinyowych belgijski uczyony wykonuje przy pomocy... floty wojennej USA na Morzu Śródziemnym. Uczony używa, jak już pisaliśmy dawniej, specjalnej łodzi podwodnej, której zbiorniki wypełnione są 100.000 litrów benzyny, unoszące o wiele cięższą od wody kabinę. Przymocowany elektromagnesami balast powoduje zanurzenie łodzi, natomiast ich odzyskanie — wypłynięcie na powierzchnię. Wszystko jest tak urządzone, że ewentualny defekt instalacji elektrycznej powoduje zaprzestanie przepływu prądu przez elektromagnes i tym samym automatycznie odrzuca balast.

Batyskaf „Trieste” zanurzył się w Morzu Śródziemnym na głębokość 3.200 metrów, a więc na samo dno. Ku swemu zdumieniu w świetle reflektorów belgijski profesor-nurek ujrzał coś w rodzaju śniegu, który opadał z różnych warstw wody. Prawdopodobnie jest to zjawisko wynikające z pewnej, hm, naturalnej działalności zwierząt. Prof. Piccard odkrył na dnie morza regularne otwory o przekroju 3 cm, które znajdowały się tu i ówdzie w płasku dennym. Uczni nie zdołali jednak zobaczyć podwodnego stwora, który prawdopodobnie w ten sposób chroni się przed swoimi wrogami.

Z dotychczasowych wyników ostatniej wyprawy można podkreślić to, że stwierdzono bez wątpliwości istnienie życia biologicznego na wszystkich głębokościach morza (ryby i skorupiaki) — jednak nie znaleziono dowodów na istnienie na głębokości 3.200 m makroplanktonu. (sld)



Piękna, słoneczna pogoda, mnóstwo śniegu i... tony gipsu czekają na narciarzy. O tym ostatnim radzimy pamiętać tym wszystkim, którzy wybierają się „na dachy”. Najlepiej wyciąć ze zdjęcia i przypiąć je nad łóżkiem.

NIEZWYKŁE DZIEJE

„Przez 10 lat żyłem w świecie niewidomych. Ożeniłem się z kobietą, której nigdy nie widziałem. Miałem dzieci, które znane mi były tylko poprzez moje ręce i serce. Pisałem książki, których nigdy nie przeczytałem”.

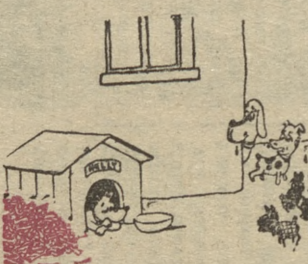
Tak zaczyna John Griffin, znany pisarz amerykański, przedziwną opowieść swego życia. Warto ją skreślić w kilku słowach.

Od dzieciństwa objawiał wybitne zdolności w rozmaitych kierunkach, lecz decyduje się w końcu poświęcić medycynie. Studiując we Francji i mając lat 20 jest już asystentem głównego lekarza szpitala psychiatrycznego w Tours. Po wojnie wyjeżdża na dalekie wyspy Pacyfiku, gdzie spędza 3 lata. Do Francji wraca już ze wzrokiem bardzo nadwężonym, który na wiosnę 1949 gwałtownie się poprawia. Ma lat 26. Szczególnym trudem przeżywa wtedy w opactwie benedyktyńskim w Solesmes. Mądrzy ojcowie otaczają go opieką i podtrzymują na duchu w ciężkiej próbie. Czyni niestannie i uparcie wysiłki, aby sobie samemu wystarczyć we wszystkim i jak najmniej odróżniać się od reszty normalnego społeczeństwa. Wraca do rodziców, na farmę w południowym stanie Texas i tam od razu wskakuje w pełnię życia: zaprowadza wzorową hodowlę zwierząt domowych, selekcjonuje sztuki, wyczuwając palcami ich budowę i kości, pielęgnuje maciory, czyści klatki, oblicza i odmierza paszę, a w końcu zdobywa złote medale za swoje okazy na wystawach zwierząt — i to napawa go niezmierną radością. Nie ustępuje bowiem w wynikach hodowcom o normalnym wzroku, nawet ich przewyższa.

Świetna instruktorka, Sadie Jacobs — sama niewidoma od urodzenia — uczy go orientacji, swobody ruchów, a przede wszystkim Brailla. Pracując po 14 godzin dziennie opanował tę sztukę czytania w przeciągu 10 dni. Zachęcony przez przyjaciół, poświęca się pracy pisarskiej. Jego pierwsza powieść: „The Devil Rides Outside” (Diabeł krąży wokół) przynosi mu ogromny sukces i tłumaczenia na wiele języków. Przekonany zatem, że potrafi już utrzy-



mać rodzinę — żeni się. Wkrótce jednak czeka go nowe nieszczęście: bezwład nóg w wyniku wypadku. Griffin, zdecydowany jest usunąć się do klasztoru, aby pisać tam w ciszy i samotności. W tym celu zaczyna studiować filozofię i teologię przy pomocy płyt. Intensywna jednak kuracja oraz nieustanne ćwiczenia mięśni — wyciągają go powoli z biedy. Kończy drugą powieść i dalej wiedzie ustalony i opanowany żywot ślepego.



— Ona chodzi teraz z tym od rzeźnika.



BIEG Z... PATELNIĄ
Fragment tradycyjnego „wysciugu z patelnią” w Olney (Anglia).

J. HOWARDA GRYFFINA

Aż raptem, po kilku dniach niesłychanego bólu głowy — w chwili, gdy ze szopy, w której urządził sobie pracownię — szedł do domu na obiad — zawróciły mu czerwone koła trójkąty przed oczyma. — Zdaje mi się, że widzę! — wybełkotał.

Co za wrażenie: widzi żonę i dzieci po raz pierwszy w życiu! Do widzenia jednak trzeba się przyzwyczajać: moliźnie i pracowicie. Z trudem, ale i z radością tym razem, przedstawia znowu zwrócić swego życia na nowy bieg. Z zachwytem wita świat wychylający się ku niemu z długiej nocy. Wszystko wydaje mu się niewypowiedzianie piękne.

Nam, którzy czytamy tę niezwykłą historię, pięknym wydaje się przede wszystkim on sam — człowiek o takich właściwościach umysłu i ducha, który walczy ze słabością i kaleciwem, a wysiłkiem żelaznej woli zdobywa pełnowartościowe miejsce w społeczeństwie.

A. Ł.



Bez słów

WSZYSTKICH ZAINTERESOWANYCH TURNIEJEM BRYDŻOWYM PARAMI O PUCHAR PRZECHODNI „NOWEGO ŚWIATA” zawiadamiamy, że termin rozgrywek musielimy przesunąć na 12 i 13 kwietnia z uwagi na to, że współorganizator turnieju, Zarząd Okręgu Brydża Sportowego, dopiero w kwietniu otrzyma wystarczającą ilość pudełek do kart, niezbędnych dla przeprowadzenia turnieju przy większej ilości par. Początek turnieju — w sobotę, 12.4. o godzinie 16,15 (punctualnie!), w sali Domu Prasy, ul. Grunwaldzka 19, III p.

Każda zgłoszona i przyjęta para otrzyma od nas imienne zaproszenie, w którym podamy szczegóły rozgrywek.

Oprócz Pucharu Przechodniego na rok 1958 przeznaczonego dla zwycięskiej pary, cztery pierwsze pary otrzymają dyplomy. Dyplomy otrzymają również dwie najlepsze pary zawodników niestowarzyszonych, dalej — najlepsza para mieszana i kobieca, oraz para najmłodszych uczestników turnieju. Poza tym przewidziane są nagrody rzeczowe.

Zgłoszenia do turnieju przyjmujemy w dalszym ciągu, do 25 bm. z tym, że ilość miejsc jest już ograniczona. Przypominamy, że turniej nasz ma charakter otwarty; przy zgłoszeniu wystarczy podać nazwiska i adresy zawodników (pary), z zaznaczeniem na kopercie „Turniej brydżowy”.

Rozwiązanie rzyżówki

Nagrody, przyznane drogą losowania, otrzymują z Poznania — Stanisław Kienitz, Dąbrowskiego 5a, m. 4, Fera Jesionowska — ul. Piękna 63, m. 4 i Gwidon Budzyński — ul. Siemiradzkiego 7, m. 15 oraz Józef Pawlicki z Kalisza i Maria Sakula z Leszna.

Zamiejszonym nagrody przesyłamy pocztą.

H	A	L	E	S	Z	A	K	A	L
E	R	O	T	Y	K	D	U	C	E
K	O	K	A	A	M	U	L	E	T
A	N	A	T	O	L	L	A	T	O
T	T	W	A	T	A	O			
E	R	A	T	O	A	R	E	N	A
U	A	C	A	N	K	K	N		
G	L	O	B	R	A	M	O	L	E
R	E	N	A	T	A	A	N	A	M
A	T	A	K	R	O	K	O	K	O
B	A	N	A	N	Y	O	M	A	N

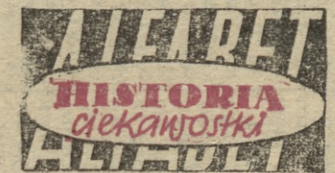
KALISZ — to nie było co! Nie wiele miast w Europie może pochwalić się taką metryką, którą wypisał też nie było kto, bo sam Klaudiusz Ptolemeusz, z zawodu geograf i włóczyki, narodowości greckiej. Wprawdzie przed 1.800 laty pomylił Prosnę z „Proną”, ale, że wtenczas drugiej „Prosnę” (klub sportowy) nie było, możemy mu tę omyłkę wybaczyć.

Pierwsza polska wzmianka pochodzi z r. 1108. Na zamku kaliskim schronił się w tym roku Zbigniew przed przyrodnim bratkiem Bolkiem Krzywoustym, który — jak to bywa w rodzinie — chciał mu sprawić „lanie”.

Czym ten Kalisz nie był! I stolicą księstwa, i województwa, i departamentu (za czasu Wielkiego Księstwa Warszawskiego), i gubernii (w zaborze pruskim), i miastem wydzielonym i stolicą rozległego powiatu (obecnie). Nie dziw więc, że ciągle marzy o godności stolicy województwa.

Kolebka jego jest Stare Miasto — Zawodzie — Rypinek, Kiedys

tam wznosił się gród z podgroziem. Nowy zaś zamek został wzniesiony tam, gdzie obecnie jest Liceum im. Adama Asnyka. Obie twierdze były połączone ze sobą podziemnym korytarzem. Opowiada-

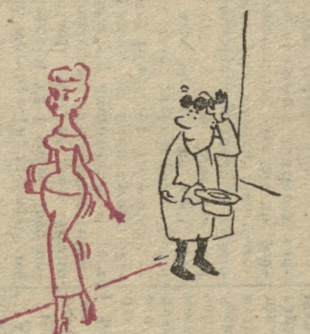


dali mi starzy kaliszanie, że tym podziemnym chodnikiem w czasie I wojny światowej uciekali jeden z księży, na którego dybał Niemcy.

Sama nazwa Kalisz pochodzi ponoć od... kału. Ten wyraz dawniej oznaczał bagno, bajoro, grzęzawisko. Z tych też względów Bolesław Pobożny miał miasto przenieść na obecne miejsce. Bagna wyschły, dziś kaliszanie nie mogą się dokopać wody, wiercenia stu-



DZIECKO i TY



Bez słów

„Co dziecku wolno, a czego nie” — to niefaty do rozwiązania problem wychowawczy. Niestety — dla niejednej mamusi ogranicza się on do wyuczenia na sztywno przyjętych form współżycia i do dbałości, by dziecku „nie stało się coś złego”. „Pociecha” takiej mamusi dorasta w świecie niezrozumiałych i podniecających ciekawość zakazów. Nic też dziwnego, że poznaje świat mimo tej opieki —

przez piecami opiekuna. „Jako przez chwilę mnie nie było, a już zdążyłeś coś zrobić! Mówiłam ci, żebyś tego nie robił!” — narzeka mamusia, dziwiąc się, że syn jej jest taki „niegrzeczny”. Choć nosek wyciera w chusteczkę a nie w rękaw, i mówi „proszę”, „dziękuję” i „przepraszam” bez przypominania

„Twój kuzyn Karolek jest zawsze grzeczny, — a Ty?” Słyszając taką reprimendę dziecko nie będzie grzeczniejsze, co najwyżej — przestanie lubić swego kuzyna.

„Dziewczynce nie wolno tego robić!” — słyszy często mała Danusia, i wzdycha: „O, jak bardzo chciałabym być chłopcem!” „E, dziewczęta — to coś od nas gorszego” — pomyśli sobie jej bratczek.

„Nie chcesz jeść? Czekaj, zawałam kominiarza!” Nikt jeszcze nie nabrał apetytu do jedzenia pod wpływem strachu. Napelnianie żołądka „na siłę” przynosi więcej szkody, niż pożytku.

„Nic się nie bój — to wcale nie boli!” — dodaje tatuś odwagi w gabinecie dentystycznym. Pójdzie na przyszłą wizytę nie obejdzie się bez krzyku, a dziecko mimo woli pomyśli, że tatuś — kłamie.

„Nie macie pojęcia, jaka kochana i grzeczna jest nasza córka!” — zachwycą się mamusia, nie wiedząc, że jeśli córka częściej będzie słyszeć podobne pochwały, częściej będzie i „kochana” i „grzeczna”.

„Masz tyle zabawek a ciągle mnie nudzisz!” Czy istnieje na świecie ktoś, kto stanie się bardziej interesujący przez to, że mu powiemy, że jest nudny? Największą ilość zabawek nie wystarczy dziecku, jeśli nie uwzględni przy tym jego zainteresowań!

Przytoczone zdania mogą być wzorem, w jaki sposób nie należy zwracać się do dzieci. Pamiętajmy, że dziecko nigdy nie słucha nas ślepo. Dziecko myśli. I nieraz potrafi „zawojsować” i stać się prawdziwym utrapieniem dla swych „wychowawców”. (bk)



Uwaga, śpiący!

Młoda Amerykanka Atalia Penirzan otrzymała w spadku olbrzymi majątek. „To, że odziedziczyłam 125 milionów dolarów nie zwalnia cię z obowiązku pracy” — rzekła do męża. Gdy małżonek — pomimo przestrogi — pozostawał przez kilka dni do południa w łóżku — wniosła sprawę o rozwód do sądu i — otrzymała go.

Fajemnica?

Pomiędzy brytyjskim stowarzyszeniem lekarzy a BBC (radio i telewizja) wybuchł spór na tle planowanej przez telewizję brytyjską serii nudań telewizyjnych pt. „Twoje życie w ich rękach”, w której mają zostać przedstawione operacje dokonywane przez lekarzy-chirurgów. Stowarzyszenie sprzeciwilo się zamlarowi BBC, uważając go za co najmniej „pożalowania godny”. Spór trwa dalej, a BBC powołuje się na zgodę brytyjskiego ministerstwa zdrowia. (u)

Nareszcie rekord

Mistrz Belgii w jedzeniu, pan Albert Grognet, odniósł zwycięstwo w konkursie „pożeraczy ciast”, zjadając w ciągu godziny 12 i pół sernika. Pobił on swój poprzedni rekord o pół sernika. Trzeba tu dodać, że każdy sernik był wielkości małego koła od wozu. Pan Grognet był już kilkakrotnie rekordzistą Belgii, konsumując m. in. jednorazowo 2 i pół metra kiełbasy na twardo

(m. z.)



Bez słów